

Andrew Nagorski

STANY ZJEDNOCZONE A ICH POSTRZEGANIE W ŚWIECIE

Dziękuję za zaproszenie do jednego z moich ulubionych miast na świecie. Będąc studentem, postanowiłem poznać kraj, z którego podczas wojny musieli uciekać moi rodzice. Miałem na tyle szczęścia, by dostać stypendium Fundacji Kościuszkowskiej i spędzić semestr na Uniwersytecie Jagiellońskim – oficjalnie studiowałem na wydziale historii, nieoficjalnie chłonałem wszelką wiedzę na temat wydarzeń roku 1968 i ich następstw, bowiem na studia przyjechałem jesienią tego właśnie roku, po marcowych rozruchach studenckich i sierpniowej inwazji na Czechosłowację. Wiedza ta posłużyła mi potem jako materiał do pracy magisterskiej, którą napisałem po powrocie na studia do Stanów. Podczas tego pracowitego semestru w Krakowie zajmowałem się też studentką o imieniu Krysia, z którą się wtedy ożeniłem, i która jest dzisiaj tutaj na sali. Mam więc wystarczający powód do tego, żeby lubić Kraków.

Dziś, oczywiście, świat wygląda zupełnie inaczej niż wtedy. Ale Ameryka zajmuje w tym świecie miejsce co najmniej tak samo kontrowersyjne jak dotychczas, a może nawet bardziej. Niedawno prowadziliśmy wojnę w Iraku, wcześniej w Afganistanie, w różnych częściach świata widać mnóstwo niechęci do Ameryki. Każda z obecnych tu osób jest na pewno świadoma tych napięć. Chciałbym odnieść się do tych wydarzeń z szerszej perspektywy, wynikającej z moich własnych doświadczeń. Za punkt wyjścia obrałem ten straszny dzień, na który mówi się dziś po prostu 11 września. Owego ranka, gdy wychodziłem ze stacji kolejki, którą zazwyczaj dojeżdżam do miasta, zobaczyłem ludzi wpatrujących się w napięciu w ekrany telewizorów stojących w witrynie banku. Zazwyczaj wyświetlają się na nich informacje dotyczące najnowszych notowań giełdowych. Tym razem na ekranach widniały napisy, że samolot uderzył właśnie w World Trade Center. Obejrzałem się za siebie na Madison Avenue i zobaczyłem potężną chmurę dymu unoszącego się wysoko na niebie nad dolnym Manhattanem. Jakiś straszny wypadek –

pomyślałem w pierwszym odruchu. Kiedy jakieś dwadzieścia minut później dotarłem do „Newsweeka”, zostałem wyprowadzony z błędu przez jednego z naszych fotoreporterów, który jak szalony wypadł z redakcyjnego budynku. „Uderzyli w drugą wieżę, w powietrzu jest więcej samolotów” – krzyczał. Na górze, w moim pokoju zastałem kilkoro kolegów oglądających telewizję. Wszedłem właśnie na powtórkę mrozącego krew w żyłach ujęcia, gdy drugi samolot wbijał się w Południową Wieżę. Nie chciałem wierzyć własnym oczom. Dopiero, gdy wieże się zawaliły, zdałem sobie sprawę z rozmiarów i doniosłości tego, co się właśnie stało.

Pod wieloma względami moja reakcja na wydarzenia tamtego ranka nie różniła się od reakcji większości moich rodaków. Tak jak wielu Amerykanów, byłem zaszokowany skalą tego przerażającego ataku. Ale szybko zorientowałem się, że myślę o tej tragedii inaczej niż większość Amerykanów. Złapałem się na tym, że dziwi mnie nieco ton, z jakim ludzie zadają najczęściej powtarzane pytanie: „Dlaczego oni nas tak nienawidzą?” Wypowiadali te słowa z tak wielkim niedowierzaniem, jakby było dla nich nowością to, że wiele osób rzeczywiście czuje do nas nienawiść. Mimo, że tak jak inni, byłem zaskoczony ogromem ataku terrorystycznego, prawie w ogóle nie zdziwiło mnie to, że Stany Zjednoczone mogą wywoływać w ludziach szereg emocji, również patologiczną nienawiść, preradającą się w działania terrorystyczne.

Tę różnicę mogę przypisać jedynie temu, że większą część życia spędziłem za granicą. Najpierw jako syn polskiego emigranta, który został amerykańskim dyplomatą, a potem jako zagraniczny korespondent „Newsweeka”. Przez prawie dwadzieścia lat, kiedy relacjonowałem wydarzenia, na wszystkich kontynentach poza Antarktydą, miasta takie jak Hongkong, Moskwa, Rzym, Bonn, Berlin, czy Warszawa – były dla mnie domem. Doświadczenia, które tam zdobyłem nie pozostawiały wątpliwości co do dwóch rzeczy: po pierwsze, że z terroryzmem nie mają do czynienia wyłącznie ludzie zupełnie nam obcy, z odległych zakątków Ziemi. Po drugie, że Stany Zjednoczone budzą w reszcie świata zarówno fascynację, jak i wstręt, a bywa że oba te uczucia jednocześnie.

Pierwszą placówką dyplomatyczną, na którą wysłali mojego ojca był Kair, w okresie gdy zimna wojna wyzwała w ludziach wyjątkowo mocne uczucia. W 1961 r. Egipcjanie przekonani o tym, że Stany Zjednoczone są odpowiedzialne za zabójstwo lewicowego przywódcy Konga, Patryka Lumumby, przypuścili szturm na amerykańską ambasadę. Powybijali szyby w oknach i postawili pracujących w niej Amerykanów w stan najwyższej gotowości. Pamiętam to dziwne uczucie – jakby przygody – gdy mama powiedziała mi, że musimy opuścić dom na co najmniej jeden dzień, bo ambasada ma wątpliwości, czy bylibyśmy w nim bezpieczni. Nigdy nie odczułem jednak cienia wrogości ze strony Egipcjan. Podobnie w Seulu, który był naszą następną placówką, gdy z ciekawości przyłączyłem się do grupy południowo-koreańskich studentów, demonstrujących przeciw dyktaturze Park Chung Hee, a tym samym amerykańskiemu poparciu dla jego reżimu. Co prawda wtedy, na początku lat 60., wyrażanie jawnej nienawiści wobec Ameryki było rzadkością podczas protestów studenckich w Korei Południowej, ale postawy takie zaczynały już się uwidaczniać.

W innych miejscach ruchy antyamerykańskie były już bardziej rozwinięte. Algierski psychoanalityk Frantz Fanon opublikował w tym czasie swój *Wyklęty lud ziemi*, który szybko stał się inspiracją dla działań radykałów młodego pokolenia, szczególnie na Zachodzie. W książce tej Fanon popiera użycie siły wobec władz kolonialnych i daje do zrozumienia, że wrogiem ludzi biednych i uciemiężonych są nie tylko tradycyjne kolonialne mocarstwa, takie jak Francja i Wielka Brytania, ale również Stany Zjednoczone. Autor nazwał oszustwem słowa Ameryki wyrażające poparcie dla samostanowienia narodów afrykańskich i je odrzucił. Wysunął też marksistowskie argumenty opowiadające się za radykalną redystrybucją światowego bogactwa i wydał wyrok na Stany Zjednoczone, potępiając ich szeroko pojętą kulturę. Ten sposób myślenia można byłoby z łatwością dopasować do sposobu myślenia dzisiejszych terrorystów. Dwa wieki temu, była europejska kolonia postanowiła nadrobić dystans dzielący ją od Europy – pisze Frantz Fanon. „Udało jej się to bardzo dobrze. Stany Zjednoczone stały się potworem, w którym choroby, skazy i bestialstwo Europy urosły do przerażających rozmiarów”. Nic dziwnego, że książkę *Wyklęty lud ziemi* opatrzył pochlebczym wstępem francuski filozof, Jean-Paul Sartre. Był on przecież przedstawicielem tradycyjnego nurtu europejskiego intelektualizmu, którego członkowie napawali się antyamerykanizmem i często sławili przymioty Związku Radzieckiego.

Nie chcę przez to powiedzieć, że reprezentowali oni poglądy większości swych rodaków, ale tego typu diatryby z początku lat 60. świadczą dobitnie o tym, że jadowity antyamerykanizm nie jest niczym nowym, chociaż nowością są ataki terrorystyczne na cele położone na terytorium USA. Z drugiej strony, państwa europejskie, takie jak Niemcy, Włochy, Francja i Wielka Brytania, przez dziesięciolecia musiały radzić sobie z terrorystami działającymi na ich terytoriach. Tymczasem zaskakujące jest to, że od 11 września, to Amerykanie czują się o wiele bardziej zagrożeni terroryzmem niż Europejczycy. Jest to bardziej kwestia uczucia – jesteśmy celem numer 1, mimo że Europa i Europejczycy również znaleźli się na celowniku. Jest jeszcze jeden aspekt, na który warto zwrócić uwagę: w Europie żyje coraz liczniejsza rzesza muzułmanów. We Francji jest ich blisko pięć milionów. Również i to musiało zaważyć na obecnym stanowisku Francji w sprawie Iraku. Wprawdzie nie zostało to głośno powiedziane, ale musiały pojawić się przynajmniej obawy, że wojna może wywołać poruszenie wśród członków tej społeczności.

Ale powrócę teraz do zasygnalizowanego już wcześniej wątku Amerykanów żyjących za granicą. Z czym się wiąże taka egzystencja? Na pewno nie z doświadczeniami na skalę choćby zbliżoną do wypadków z 11 września. Natomiast chlebem powszednim, do którego przywykli, są otrzymywane ostrzeżenia, że mogą stać się celami ataków. Różne przejawy aktów terroru stały się bardzo realną częścią naszego życia, zetknęli się z nimi nasi bliscy. W 1985 r. palestyńscy terroryści porwali pasażerski liniowiec „Achille Lauro”, pływający pod włoską banderą, wyrzucając za burtę Leona Klinghofera, amerykańskiego pasażera przykutego do wózka inwalidzkiego. Wykupił on bilet na ten rejs dla siebie i dla żony. Razem z nimi płynęli rodzice naszych bliskich przyjaciół z New Jersey, którzy na szczęście wyszli z tej niebezpiecznej przygody bez szwanku. Jakiś czas potem, w tym

samym roku, akcja innej grupy terrorystycznej spowodowała rozlew krwi na lotniskach w Rzymie i Wiedniu. Jedną z rzymskich ofiar była Natasza Simpson, jedena-stoletnia córka naszych przyjaciół z agencji Associated Press – Victora i Danielli Simpson.

Później, w latach 80. doszło do serii porwań obcokrajowców w Bejrucie. Jedną z ofiar był Terry Anderson z Associated Press, znałem go z czasów, gdy byliśmy korespondentami w Azji. Został porwany w 1985 r. a odzyskał wolność dopiero sześć lat później. Ostatni raz wpadliśmy na siebie w 1983, w barze bejruckiego hotelu Commodore, który był miejscem spotkań zagranicznych korespondentów w okresie licznych wojen domowych w Libanie. Pojechałem tam, by napisać relację o amerykańskich marines, których ostrzelano na lotnisku w Bejrucie. Dwaj żołnierze zginęli od kul libańskiego snajpera. Kilka tygodni później terrorysta-samobójca wjechał ciężarówką na teren koszar marynarki i wysadził się zabijając 241 amerykańskich żołnierzy. To jedynie moja osobista, niepełna lista wprowadzeń, zamachów bombowych, akcji brania zakładników, jakie miały miejsce w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Mówię o tym, by pokazać, że nie powinien być dla nas aż tak wielkim zaskoczeniem fakt, iż terroryści w końcu uderzyli bezpośrednio w nasz kraj. Nasze ambasady były przecież ciągłym celem ataków, dlaczego więc sądziliśmy, że zamachowcy na nich poprzestaną? Najzupełniej zrozumiałe jest natomiast to, że Amerykanie nie mogli uwierzyć w skalę ataków z 11 września.

Jest jeszcze jedna ważna kwestia, o której warto pamiętać. Mówimy tu o działaniach wywołanych nienawiścią do Stanów Zjednoczonych w najbardziej ekstremalnej postaci. Wielu ludzi na świecie postrzega nas przez pryzmat całej gamy uczuć: od bezkrytycznego podziwu do niechęci, a nawet nienawiści, skąd niezbyt daleko do aprobaty terroryzmu. Czasem ten sam człowiek, który ostro potępia Stany Zjednoczone, prawie jednym tchem pyta o możliwości otrzymania wizy imigracyjnej czy zielonej karty. Nasz dobrobyt, otwartość, demokracja są zarówno przedmiotem zazdrości, jak i nienawiści, odczuwanej często jednocześnie.

Przykłady podziwu dla Stanów Zjednoczonych przybierały najbardziej jaskrawe formy tutaj, w Polsce, w okresie zimnej wojny. Wielu obecnych na tej sali z pewnością dobrze to pamięta. Dla wielu Polaków Ameryka była antytezą tego wszystkiego, czego w ich społeczeństwie brakowało. Oznacza to oczywiście, że symbolizowała bogactwo i sukces. Pojęcia te były podsycane przez opowieści znajomych, którzy wyemigrowali do Stanów, i którym się tam powiodło. Słowo „Ameryka” znaczyło też tyle, co demokracja, uprzejmość, często w wyidealizowanych formach. Pamiętam, że gdy ktoś zwracał uwagę urzędnikowi, by ten traktował go z szacunkiem, mógł usłyszeć w odpowiedzi burknięcie: „Co Pan sobie myśli, że tu jest Ameryka?” Podczas takiej „wymiany uprzejmości” obie strony zakładały, że pod pojęciem „Ameryka” rozumieją to samo.

Dzięki takim postawom łatwiej wyjaśnić, dlaczego kraje nazwane przez Donalda Rumsfelda „Nową Europą”, czyli te państwa, które przeżyły reżim komunistyczny, chętnie podkreślają swe związki ze Stanami Zjednoczonymi, nawet wtedy, gdy stawia je to w opozycji wobec „Starej Europy”, reprezentowanej przez Francję i Niemcy. Teraz, wiele lat po zakończeniu zimnej wojny, postawy Polaków rów-

niez ulegają zmianie, szczególnie wśród przedstawicieli pokolenia, do którego należy większość z was. Podejrzewam, że patrzycie na Amerykę w sposób bardziej krytyczny niż wasi rodzice, z mniejszymi emocjami niż oni. Jestem bardzo ciekawy waszych opinii na ten temat.

Kiedy amerykańska prasa pisze o stosunku mieszkańców Europy Zachodniej do Stanów Zjednoczonych, koncentruje się – co zupełnie zrozumiałe – na krytyce, jaką nasz kraj często wywołuje. Jest jej teraz bardzo dużo. Ale kiedy mieszkałem w Europie, często spotykałem się też z przykładami świadczącymi o tym, że wielu Europejczyków nadal żywi ogromną wdzięczność za rolę, jaką odegraliśmy w wyzwoleniu ich spod hitlerowskiej okupacji. Również za to, że kilka lat później zablokowaliśmy dalsze parcie Związku Radzieckiego na Zachód, organizując tak zwany most powietrzny w celu zaopatrzenia Berlina Zachodniego, oblężonego przez wojska sowieckie. Równie ważny jest powszechny podziw dla społeczeństwa Ameryki – „amerykańskiego eksperymentu”, mimo jego niezliczonych wad. Niemiecki autor bestsellerów, profesor Bernhard Schlink, konstytucjonalista, którego fascynują społeczeństwa utopijne, mawia, że Stany Zjednoczone od zarania były tworem utopijnym – „miastem na wzgórzu, które wysyła blaski na cały świat”. „To koncepcja, która wprawia w ruch wszystkie utopijne społeczeństwa. Tego typu społeczności nie chcą żyć same dla siebie. Chcą błyszczeć na cały świat i pokazywać światu lepszą drogę” – twierdzi Schlink.

Ale niebezpieczne jest być postrzeganym w sposób zbyt idealistyczny. W opinii wielu Europejczyków, idealizm może prowadzić do lekkomyślnego zachowania. Wynika ono z założenia, że nasze dobre intencje w zupełności wystarczą, by ustrzec nas przed błędami. Na przykład przed uwikłaniem się w sytuacje, w których możemy uczynić więcej złego niż dobrego. Mistrzem od wyrażania tego typu zastrzeżeń był Luigi Barzini, nieżyjący już włoski pisarz, który jednocześnie podziwiał Stany Zjednoczone i obawiał się ich. Poznałem go, kiedy mieszkałem w Rzymie. Jeden z rozdziałów swej głośnej książki pt. *Europejczycy*, wydanej na Zachodzie w 1983 r. [wydanie polskie 2001 r. – przyp. tłum.], poświęcił „Zdumiewającym Amerykanom”, wychwalającym zalety „szlachetnego eksperymentu” po drugiej stronie Atlantyku. Niepokój Barzinięgo budziła typowa amerykańska mentalność: „potrafię wszystko zrobić”. „Pragmatyczni Amerykanie uważają, że istnienia problemów nie można tolerować, a życie pełne kłopotów jest nie do przyjęcia” – pisał Barzini. „Amerykanie wierzą w to, że [...] wszystkie problemy nie tylko muszą być rozwiązane, ale również w to, że ich rozwiązywanie jest, w gruncie rzeczy, głównym celem życia każdego człowieka”. Proszę to porównać ze stanowiskiem Francuzów. Nie bez kozery słowo „niuans”, mające mniej więcej to samo znaczenie w języku polskim i angielskim, pochodzi z francuskiego. Francuzi i inne nacje są bardziej niż Amerykanie skłonni do pogodzenia się z tym, że nie wszystkie nieprzyjemne sprawy w życiu można rozwiązać. Zdaniem Barzinięgo, tego typu podejście do życia oznacza, że Stany Zjednoczone mogą albo przeliczyć się w swych rachubach, albo poczuć frustrację i wycofać – innymi słowy mogą przyjąć postawę interwencyjonistyczną lub izolacjonistyczną. Innej możliwości nie ma. Jak zauważają nasi krytycy za granicą, dokładnie takie zachowania cechują

teraz administrację Busha. Nietrudno zrozumieć, dlaczego amerykańscy prawodawcy czują czasem frustrację rozglądając się wokół siebie. Często znajdują się bowiem w sytuacji, kiedy każde ich działanie spotyka się z krytyką – „podpadną, jeśli postąpią w określony sposób” i „podpadną, jeśli tak właśnie nie postąpią”. Weźmy przykład Bliskiego Wschodu. Pod koniec rządów administracji Clintona, ustępujący prezydent był przedmiotem powszechnych drwin, ponieważ zdecydował się na „mikrozarządzanie” negocjacjami pokojowymi między Izraelczykami a Palestyńczykami i podejmowanie usilnych starań w celu osiągnięcia tego porozumienia przed ustąpieniem z urzędu. W pierwszych miesiącach administracji prezydenta Busha, gdy podróżowałem po regionie bliskowschodnim, często słyszałem tego typu krytykę, szczególnie ze strony arabskich polityków. Co ciekawe, ci sami urzędnicy kilka miesięcy później ostro narzekali, że nowa administracja Busha igra z niebezpieczeństwem, wycofując się z realizacji procesu pokojowego.

W rzeczywistości amerykański optymizm, dający nam wiarę w to, że potrafimy poradzić sobie z najtrudniejszymi problemami, wobec których inni są bezradni, czasami jest przyczyną naszych największych klęsk. Połączenie arogancji, ignorancji i lekkomyślności sprawiło, że daliśmy się wciągnąć w tarapaty w Wietnamie. Ale kiedy baliśmy się włączyć w światowe konflikty, wówczas zarzucono nam moralną odpowiedzialność za to, iż pozwoliliśmy, by te konflikty wymknęły się spod kontroli. Na przykład Ruanda. Nasza bierność spowodowała, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat doszło tam do serii masakr na ogromną skalę. Weźmy wreszcie Bośnię. Europa powinna była zająć konkretne stanowisko, które w efekcie położyłoby kres rzezi w Sarajewie i masakrom w innych częściach byłej Jugosławii – przynajmniej teoretycznie. To jest przecież europejskie podwórko. Tymczasem Zachód podjął działania dopiero wówczas, gdy inicjatywę przejęły Stany Zjednoczone. Kiedy istnieje potrzeba działania, ludzie zawsze zwracają wzrok na Amerykę. Ale można powiedzieć, że przywódcy amerykańscy mają rację uważając, że wstrzymanie się od działań samo w sobie jest rodzajem działania. Z tym, że i to może mieć niebezpieczne konsekwencje. Pozwolę sobie w tym miejscu na małą dygresję. Dziennikarze i historycy mają naturalną tendencję do analizowania decyzji, które przyniosły określone skutki. Świadomie czy nie, daje się odnieść wrażenie, że taki a nie inny rozwój wypadków był nieunikniony. Ale kiedy kończymy relacjonować takie wydarzenia jak np. upadek komunizmu, do którego doszło w tej właśnie części świata, bardziej niż kiedykolwiek jestem przekonany, że w historii prawie nic nie jest przeznaczone. Wybory, których dokonujemy są zawsze znaczące – niezależnie od tego, czy chodzi o decyzje dysydentów w systemach totalitarnych, czy przywódców politycznych podejmujących niepopularne działania. Równie ważna jest rola przypadku. Kombinacja tych dwóch elementów tworzy historię. W biegu historii nie ma jednak niczego, co musi się wydarzyć. Próbowałem to przedstawić w mojej powieści *Stacja końcowa – Wiedeń*, opowiadającej o pierwszych latach ruchu Hitlera. Hitler był dla świata zagrożeniem, jednak ludzie potrzebowali sporo czasu, by to zagrożenie dostrzec. Wiele mogło się wydarzyć – i prawie się wydarzyło – by Hitler w ogóle nie doszedł do władzy. Ile koszmarów byłoby zaoszczędzonych ludziom, którzy przeżyli. Każdy, kto ma choć trochę roz-

sądu powie, że podjęcie działań prewencyjnych skierowanych przeciw Hitlerowi na samym początku byłoby błogosławieństwem. Kiedy więc administracja Busha wysuwa argumenty przemawiające za podjęciem działań zapobiegawczych, każdy taki przypadek powinno się – moim zdaniem – oceniać indywidualnie. Opozycja przy każdej akcji prewencyjnej jest dowodem lekceważenia lekcji historii.

Warto podkreślić, że amerykańscy przywódcy w zasadzie nie rezygnowali ze swych wizjonerskich celów mimo, że wielu naszych sojuszników wątpiło w ich realizację. Kiedy prezydent Reagan pojechał w roku 1987 z wizytą do Berlina by wygłosić swe słynne przemówienie, w którym padły słowa: „Panie Gorbaczow, proszę zburzyć ten mur”, większość Niemców drwiła z jego rzekomej naiwności. Zdaniem Niemców, którzy uważali się za wytrawnych znawców polityki, nie było żadnych szans, żeby doszło do podobnego wydarzenia w dającej się przewidzieć przyszłości, a nawet kiedykolwiek w historii. W dziesiątą rocznicę wygłoszenia tej przemowy jechałem samochodem po Berlinie, słuchając popularnej stacji radiowej. Nagle muzyka ucichła i z głośników popłynął głos Reagana mówiącego te pamiętne słowa. Dziennikarz przyznał wtedy, że większość Niemców nie doceniła amerykańskiego prezydenta i był pełen uznania dla jego zdolności przewidywania i determinacji. Często postrzega się nas jako kaganek światowej wolności i demokracji, czyli tak, jak sami lubimy na siebie patrzeć.

Czy w podobny sposób zmieniają swój punkt widzenia najbardziej zagorzali krytycy wojny w Iraku? Będzie to pewnie zależało od odpowiedzi na kluczowe pytanie – czy odsunięcie Saddama od władzy doprowadzi do mniejszej czy większej stabilizacji w regionie, zwiększy czy zmniejszy szerzący się tam terroryzm. Abstrahując od tych problemów, ulga, jaką już odczuli Irakijczycy dzięki ukróceniu rządów sprawowanych przez Saddama skłania przynajmniej część osób do przemyślenia swego stanowiska.

Gdy dochodzi do realizacji naszych wizji, pojawia się kolejne niebezpieczeństwo: możemy być uważani za wszechwładnych. W 1992 r. razem z innym amerykańskim korespondentem pojechaliśmy samochodem w okolice Moskwy, żeby znaleźć miejsce, w którym rzekomo odbywa się potajemne spotkanie członków partii komunistycznej. Rosyjskie władze właśnie wydały zakaz tego typu zgromadzeń. Po drodze wzięliśmy autostopowicza, który, jak się okazało, był doradcą ultranacjonalistycznego polityka Władimira Żyrinowskiego i chciał się dostać na to samo zebranie. Kiedy zdał sobie sprawę, że siedzi w samochodzie z dwoma amerykańskimi dziennikarzami powiedział: „Muszę pogratulować waszemu prezydentowi, George’owi Bushowi i CIA”. „Za co?” – spytałem go. „Za to, że w znakomity sposób doprowadzili do upadku Związku Radzieckiego”. Mój kolega roześmiał się i powiedział, że chciałby uwierzyć, że CIA jest taka zdolna. Rosjanin nie miał co do tego żadnych wątpliwości i upierał się, że mistrzowscy stratedzy CIA pociągali za odpowiednie sznurki.

Oczywiście jest mnóstwo uzasadnionego żalu do polityki prowadzonej przez Stany Zjednoczone i działań CIA, mieszej się w wewnętrzne sprawy innych krajów, szczególnie na początku zimnej wojny. Udzielając pomocy w dojściu do władzy pravicowym dyktatorom w Ameryce Środkowej czy szachowi Iranu Rezie

Pahlavi, których rządy przyczyniły się do wzrostu niezadowolenia społecznego, Stany Zjednoczone czasem nieświadomie pomagały przygotowywać grunt pod gwałtowne w skutkach rewolucje. Jeśli dodać do tego wieczny sprzeciw Bliskiego Wschodu wobec amerykańskiego poparcia dla Izraela, okaże się, że są podstawy do powszechnej nieufności i gniewu. To jednak za mało, by wyjaśnić przyczyny najbardziej zjadliwych przejawów antyamerykanizmu. Tu w grę wchodzi jeszcze inny element. Ma on więcej wspólnego z kulturą niż z polityką. Od chwili, gdy pod koniec II wojny światowej Stany Zjednoczone zyskały status supermocarstwa, stały się one również ucieleśnieniem modernizacji, czy – by użyć bardziej współczesnej terminologii – globalizacji. Staliśmy się eksporterem nie tylko coca-coli, McDonald'sa, hollywoodzkich filmów i MTV, ale też określonego stylu życia. Nasza duma z roli, jaką odegraliśmy w rozwoju światowej demokracji i przyspieszeniu postępu gospodarczego jest zatem uzasadniona. Jednak fakt, że kraje zmagające się z modernizacją postrzegają nas jako wzór do naśladowania oznacza, że ich porażki stają się naszymi porażkami.

Rosyjską odmianę kapitalizmu cechuje szczególna brutalność. Wielu Rosjan uważa, że my ponosimy za to taką samą winę jak i ich skorumpowani przywódcy. Jeśli młodzi Egipcjanie czują, że wpadli w pułapkę gospodarczą, która ogranicza ich możliwości i żyją w systemie politycznym, który nie pozwala im na krytykę własnego rządu, to niektórzy z nich znajdują pociechę w islamskim fundamentalizmie i wyładowują swe frustracje na łatwym celu, jakim są Stany Zjednoczone. Egipskie władze, podobnie jak inni tak zwani „sojusznicy” w tym regionie, cieszą się z tego, że mogą skierować gniew swych obywateli w naszą stronę, bo dzięki temu utrzymują go z dala od siebie. Czynią tak, mimo że przekazujemy miliardy dolarów w formie pomocy zagranicznej, by rząd ten mógł utrzymać się na powierzchni. Czasem jesteśmy również przyczyną zmieszania i rozczarowania przedstawicieli innych nacji. Gdy pojechałem na Ukrainę na początku lat 90., pewien taksówkarz zaczął ze mną rozmawiać na temat swojego nastoletniego syna, który fascynował się brutalnymi hollywoodzkimi filmami. Dzięki powszechności kaset wideo tego typu produkcje stały się ogólnie dostępne. „Czy Ameryka jest rzeczywiście taka, jak na tych filmach?” – spytał mnie w pewnym momencie. Nie mówił tego ze złością, ale z pewnym zakłopotaniem i smutkiem. Dla ludzi, którzy nie mają bezpośredniego kontaktu ze Stanami Zjednoczonymi wizerunek, który rozpowszechniamy może okazać się odpychający. Reakcje innych osób mogą być o wiele bardziej niebezpieczne. Nie mam tu na myśli ludzi, którzy wciąż żyją w środowisku kultywującym tradycyjne wartości kulturowe. Myślę tu raczej o tych, których psychologowie określają mianem jednostek o fragmentarycznej osobowości. O ludziach, którzy nie prowadzą już takiego życia, jak ich przodkowie, ale jednocześnie nie mogą znaleźć dla siebie miejsca w zmieniającej się rzeczywistości.

Wśród dziewiętnastu zamachowców z 11 września byli tacy jak Mohamed Atta – syn odnoszącego sukcesy egipskiego prawnika, który nie miał kłopotów z poruszaniem się po Europie i po Stanach Zjednoczonych. Jak ktoś, kto tak dobrze poznał życie na Zachodzie – pytają ludzie – mógł zaplanować taki czyn? Znów

muszę powiedzieć coś, o czym już wspominałem – tego typu zjawisko nie jest niczym nowym. Po utracie władzy przez księcia Kambodży Norodoma Sihanouka w 1970 r., Czerwoni Khmerzy w kilka lat rozkręcili w jego kraju spiralę przemocy. Jakiś czas później zadano księciu pytanie o to, co by zmienił, gdyby dano mu jeszcze jedną szansę na sprawowanie władzy. W odpowiedzi Sihanouk przedstawił takie oto wyjaśnienie. W okresie swych rządów połowę studentów, którzy ubiegali się o wyjazd za granicę wysłał do Stanów Zjednoczonych, Francji i innych zachodnich państw a połowę do Związku Radzieckiego. Ci, którzy byli na Zachodzie wrócili do Kambodży jako zdeklarowani marksiści, a ci, którzy przebywali w ZSRR – jako antykomuniści. Dlatego – zakończył swój wywód Sihanouk – kiedy po raz kolejny dojdę do władzy, będę wysyłał wszystkich studentów do Moskwy.

Podobne prawidłowości można znaleźć i dziś. W jednym z sondaży przeprowadzonych po 11 września w Holandii – będącej jednym z najbardziej liberalnych krajów na świecie – 21 procent marokańskich imigrantów wyraziło poparcie dla świętej wojny przeciw Stanom Zjednoczonym. 11 września pokazał, że nadal cieszymy się ogromnym poparciem i budzimy wielki podziw. Wyrazy sympatii, które popłynęły z wielu części świata były naprawdę imponujące. Jednak po wojnach w Afganistanie i Iraku, nie moglibyśmy liczyć na tyle sympatii. Dziś musimy stawić czoła irytacji ze strony niektórych naszych sojuszników i jeszcze silniejszemu gniewowi ze strony tych, którzy nas szczerze nienawidzą. Nadszedł czas, kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że ludzie, którzy żywią wobec Ameryki nienawiść nie znają granic, są czasem skłonni poświęcić swe życie po to, by odebrać życie nam. Ameryka musi uczynić wszystko, co w jej mocy, by się bronić. Ale musi też rozprószyć napięcia i prowadzić skuteczniejszą dyplomację niż ostatnio. Stawia nas to wobec wielu bardzo trudnych wyborów i bardzo niejasnych odpowiedzi.